

Dodatkowym walorem płyty jest jej strona edytorska – efektowna szata graficzna, kolorowe zdjęcia wszystkich wykorzystanych w nagraniu instrumentów, dobre teksty, w tym również naszego nieodżałowanego wielkiego skrzypka, pedagoga i propagatora skrzypiec Tadeusza Wrońskiego. Obok artystycznej album posiada więc niemałą wartość historyczną i kolekcjonerską. Nie da się ukryć – i taki był też z pewnością zamiar jego realizatorów – że jest on bardzo dobrą reklamą polskiej szkoły lutniczej, ukazującą zarazem jej bogatą tradycję oraz jakże optymistyczną współczesność.

**Witold Paprocki**

## Lux aeterna

Antoine de Févin

**Requiem d'Anne de Bretagne**

Doulce Mémoire pod dyrekcją Denisa Raisin Dadré'a,  
Zig-Zag Territoires,

nagranie: 2010, wydanie: 2011

Spośród dzieł epoki renesansu szczególną admiracją darzę wielogłosowe żałobne msze. Lubię ich powolne tempa, niskie rejestry głosów, polifoniczne konstrukcje rozpięte na chorałowych melodiach, ową szczególnie poruszającą monotonię. Kompozycje franko-flamandzkich mistrzów bowiem zbudowane są z tych samych dźwiękowych cegiełek, skutkiem czego różnice stylistyczne przestają być aż tak wyraźne, tak jakby temat śmierci ujednotocił dyskurs, wymuszając zajęcie wspólnego estetycznego stanowiska.

Taką właśnie muzykę prezentuje najnowszy projekt zespołu Doulce Mémoire. Tym razem znakomity francuski flecista i dyrygent Denis Raisin Dadré zaproponował melomanom podróż do XVI-wiecznej Francji, rejestrując dzieło, które prawdopodobnie zostało wykonane podczas uroczystości pogrzebowych Anny Bretońskiej (1477–1514). Requiem Antoine'a de Févina jest utworem skomponowanym według kształtującego się w tamtym czasie wzorca. Składa się z polifonicznie opracowanych fragmentów, bazujących na fragmentach chorału gregoriańskiego, którym powierzono rolę cantus firmus, umiejętnie wtopionych w imitacyjną strukturę dzieła. Dodatkową atrakcją jest obecność na płycie kompozycji żałobnych (tzw. deploration) innych kompozytorów: Josquina, Fe-

sty, de la Rue i Lupusa. Nagranie zostało także wzbogacone poprzez dołączenie trzech fragmentów gwerziou, bretońskich pieśni znakomicie wykonanych przez Yanna-Fancha Kemenera. Efektem takiego doboru repertuaru jest harmonijne przeplatanie się wysoce intelektualnej wielogłosowej muzyki z niezwykle ekspresyjną prostotą ludowego śpiewu.

Brzmienie Douce Mémoire jest bardzo skupione, podkreśla kontemplacyjny charakter wykonywanych dzieł, lecz unika jednowymiarowości, którą dość często odnaleźć możemy w czysto wokalnych interpretacjach renesansowej polifonii, jak choćby w przypadku Brytyjczyków z The Tallis Scholars. Śpiewacy otrzymują u Padre'a wsparcie kornetu, puzonów i – co nadal jest stosunkowo rzadką praktyką – consortu fletów prostych oraz dulcianów. Dzięki temu barwa zespołu jest zróżnicowana, poszczególne zaś utwory stają się bardziej jeszcze podniosłe i uroczyste. Muzyka ta, nie tracąc nic ze swojej intelektualnej aury, niewątpliwego uroku conceptualnej, można rzec, kosmicznej kreacji, zarazem zyskuje głęboko emocjonalne oblicze. To sztuka jak najbardziej zmysłowa, wciągająca słuchacza w fascynującą grę pomiędzy dźwiękiem i kształtującą go przestrzenią. Jest tu miejsce zarówno na ciało, jak i na duszę, bo przecież człowiek to całość, układanka lepiej lub gorzej dopasowanych metafizycznych kawałeczków.

Takie właśnie ujęcie tematu śmierci jest mi najbliższe. Dotyka mnie ono najsilniej, bo rozgrywa się gdzieś pośrodku fenomenu umierania. To nie czysta duchowa abstrakcja, teologiczna żonglerka pojęciami, które niczym drogowskazy wyznaczają nam rajski (piekielny?) kierunek, ani też wulgarna kronika cielesnego upadku, zapis rozkładu organizmu, gnicia, biochemicznej degeneracji. To sublimacja przeznaczenia. Z mojej własnej, pierwszoosobowej perspektywy spoglądam na umierających. Dokąd zmierzają? Czy warto w ogóle

o to pytać? Spoglądam na siebie samego; czyżby było tak, jak pisał Gombrowicz? „Na pogrzebie myślałem: że to nie żywi żegnają nieboszczyka, ale umierający umarłego”. Pośród ziemskiej fauny człowiek jest chyba jedynym stworzeniem, które dość szybko zyskuje świadomość nieuchronności własnej śmierci. Co więcej, świadomość ta rozciąga się na innych ludzi – w pierwszej kolejności na tych, którzy są nam najbliżsi – wyznaczających sens istnienia. Szczególne piękno sztuki, której naczelnym motywem jest śmierć, bierze się z buntu przeciwko antyestetycznej linearności życia. Sama śmierć budzi oczywiście strach, lecz jest on bardziej fizjologiczny niż fenomenologiczny. Przedmiotem naszych przeżyć związanych ze śmiercią jest ożywająca co jakiś czas rejestracja oznak własnego przemijania, psujemy się coraz bardziej, marszczymy, kurczymy, wysychamy. (Jakże sugestywnie ukazuje to jeden z obrazów Hansa Baldunga!) Przystrajając cudzą śmierć w piękne szaty, nie tyle odpychamy od siebie strach przed własnym końcem, ile czynimy estetycznie znośniejszą codzienną egzystencję własnych ciał. Muzyka jest taką właśnie szatą, której renesansowi twórcy potrafili nadać najbardziej wyrafinowane kształty i kolory. Misternie zestrojone ze sobą głosy toczą się w przestrzeni, której czas – wierny zazwyczaj towarzysz, dał odrobinę wytchnienia. Bo kompozycje te nie potrzebują czasu, radzą sobie bez niego doskonale. Pamięć natomiast nie radzi sobie zupełnie. Melodie istnieją, gdy ich słuchamy, ale odtworzyć ich nie sposób, bezwiednie się rozpadają na dźwiękowe powidoki, cienie czystego piękna. Szesnastowieczni kompozytorzy przekonali mnie, że genialna sztuka nie przemawia językiem kancjałym i twardym, obrysowującym świat grubą krechą, lecz tworzy jedynie kolekcję kruchych wrażeń, refleksów doskonałości. Douce Mémoire podpowiada, że tak właśnie smakuje wieczność.

**Tomasz Zarębski**